

25

21

por. Monko Ryszard

Dr. Odrzyżewski Kazimierz

LISTA OPRAWCÓW

TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

FRONDA

LISTA OPRAWCÓW

LISTA OPRAWCÓW

TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

FRONDA

Okładka
Anna Kierzkowska

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redakcja
Leszek A. Wieliczko

Korekta
Hanna Rybak

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

Copyright © by Tadeusz Płuzański
Copyright © by Fronda PL, Sp. z o.o.

Wszystkie zdjęcia w tekście, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą ze zbiorów
Autora oraz z archiwów Instytutu Pamięci Narodowej.

ISBN 978-83-64095-26-9

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Fax. 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo

OD AUTORA

O Żołnierzach Wyklętych, których ze względu na postawę trzeba nazywać Niezłomnymi, można mówić od 1989 roku. Niewielu badaczy jednak zajmuje się drugą stroną, czyli ich oprawcami. Dlaczego tak się dzieje? Jak to możliwe, że sprawy te pozostają w Polsce nierozliczone, stanowiąc swoisty temat tabu? Ci zbrodniarze, czy to śledczy stosujący bezpośredni terror, czy sędziowie i prokuratorzy, wciąż są pod ochroną. Nie ponieśli żadnej kary. O abolicji dla nich przesądzono pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku w wyniku porozumień przy okrągłym stole oraz w Magdalence. Oprawców chronią powiązania środowiskowe, rodzinne i nietrudno wywnioskować, że zajmowanie się tym tematem jest podkopywaniem całej konstrukcji III Rzeczypospolitej, pokazuje bowiem, że dzisiejsza Polska stanowi właściwie kontynuacją PRL.

W książce, którą oddaję w Państwa ręce, chciałem przedstawić najważniejszych według mojej opinii twórców tamtego totalitarnego, zbrodniczego systemu. Decydentów, ale też funkcjonariuszy niższego szczebla. Obok zdeklarowanych komunistów opisuję osoby podejmujące współpracę z imperium zła z innych pobudek.

Staliniści nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności ani na fali tak zwanej gomułkowskiej odwilży, w gruncie rzeczy będącej rozliczeniem fasadowym, propagandowym, ani we współczesnej Polsce.

Dawne komunistyczne układy, ludzie tamtego systemu i struktury, funkcjonują dalej, mając często przemożny wpływ na życie publiczne. Potomkowie stalinowskich sędziów i prokuratorów orzekający wyroki w późniejszym PRL, czyli na przykład w stanie wojennym, często pracują do dziś, i rzecz jasna nie są zainteresowani osądzeniem swoich ojców, dziadków. Ograniczanie zbrodni komunistycznych do brutalnych funkcjonariuszy bezpieki czy Informacji Wojskowej jest jedną z największych chorób współczesnej Polski. Tymczasem bestiami byli także inni pracownicy stalinowskich struktur.

Niektórym III RP stawia zarzuty. Warto podkreślić, iż pojawiły się one dopiero wraz z powołaniem Instytutu Pamięi Narodowej, placówki, która jako pierwsza ustanowiła przepisy o zbrodni komunistycznej. IPN nie ograniczył ich zasięgu wyłącznie do Urzędu Bezpieczeństwa i Informacji Wojskowej, ale stwierdził, że oprawcami są również sędziowie i prokuratorzy. Wprowadził do tych spraw pojęcie morderstwa sądowego. Stalinowski prokurator oskarżał na ogół na podstawie wymuszonych i spreparowanych dowodów. Oficer śledczy w trakcie przesłuchań do protokołów wpisywał, co chciał, więźniowie byli bowiem tak zmasakrowani, że podpisywali je, często w ogóle ich nie czytając. Na tej podstawie prokurator, mający pełną świadomość, jak wygląda dochodzenie, orzekał, że więzień przyznaje się do winy.

Na przykład prokurator Czesław Łapiński, oskarżający grupę Witolda Pileckiego, doskonale wiedział, że byli oni maltretowani, mimo to uznawał protokoły śledcze za wiarygodne. Podobnie sędzia Jan Hryckowian, który wydał wyrok śmierci na rotmistrza i jego współpracowników na podstawie wymuszonych w dochodzeniu materiałów. Dziś takich ludzi ściga IPN. Są oskarżani o to, że na podstawie spreparowanych dowodów jedni żądali kar śmierci, drudzy zaś je orzekali. Akty oskarżenia trafiają potem do polskich sądów, a tam oprawcy są uniewinniani ze „względów humanitarnych”, z powodu wieku czy, na podstawie zaświadczeń lekarskich, stanu

zdrowia. W efekcie żaden z morderców sądowych po 1989 roku nie został skazany.

Dzisiejsze odkrycia na „łańcze” Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie szczątków zamordowanych Żołnierzy Wyklętych umożliwiają łatwe odtworzenie całego łańcucha zbrodni. Ułatwiają identyfikację tych, którzy znęcali się w śledztwie, którzy oskarżali i skazywali, w końcu katów strzelających w tył głowy. I tak w kwarterze Ł można znaleźć ofiary stalinowskiego sędziego wojskowego Stefana Michnika, przyrodniego brata Adama Michnika, redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”. Obecnie Stefan Michnik żyje sobie spokojnie w Szwecji, która odmówiła wydania go Polsce, bo jego czyny miały ulec przedawnieniu.

Często jestem pytany, jak w śledztwie traktowano Żołnierzy Wyklętych. Kazimierz Moczarski, jeden z czołowych wywiadowców Armii Krajowej w czasie wojny, opisał czterdzieści dziewięć metod śledczych, jakich doświadczył na Rakowieckiej. To oczywiście niepełna lista. Do najprostszych zaliczało się bicie, zarówno rękoma, jak i różnymi przedmiotami, na przykład gumowymi pałkami, prętami, sadzanie na nodze odwróconego stołka, przypalanie części ciała. Słynna Julia Brystygierowa z UB, kobieta potwór, szczególnie lubiła znęcać się nad młodymi chłopcami, miażdżąc ich genitalia za pomocą szuflady czy okładając przyrodzenie różnymi pejcami. Był też słynny konwejer; polegał na pozbawieniu więźnia snu i wody przez kilka dób, co prowadziło do utraty świadomości. Psychiczne znęcanie się stanowiło metodę, którą Sowietci i ich polscy kolaboranci opanowali do perfekcji. Szantażowano więc śmiercią zatrzymanego, ale także jego rodziny. Było to szczególnie bolesne, gdyż straszono aresztowaniem żony, dzieci, rodziców, grożąc wykończeniem ich.

Razem z całą grupą Pileckiego, w maju 1947 roku aresztowano mojego Ojca, Tadeusza Ludwika Płuzańskiego, a także ówczesną żonę Taty, Stanisławę, która także trafiła na Mokotów. Śledczy Eugeniusz Chimczak mówił do Ojca: „My wiemy, że ty masz twardą dupę. Ale

obok mamy kogoś, kto nam wszystko wyśpiewa”. W podobny sposób groził też Stanisławie – że jeśli nie będzie zeznawać, zabiją jej męża. Chimczaka i jemu podobnych znajdziesz, Czytelniku, w tej książce.

Może zrodzić się pytanie, skąd właściwie wzięli się ci oprawcy? Przecież w większości (prócz wysoko postawionych doradców sowieckich) byli Polakami wychowanymi w przedwojennej II RP. Okazuje się jednak, że z Polską wiązało ich tylko miejsce urodzenia oraz polsko brzmiące imię i nazwisko. Decydenci stalinowskiego systemu: przywódcy komunistycznej partii i państwa, szefowie bezpieczeństwa, sądownictwa, prokuratury, to po prostu wieloletni funkcjonariusze Kominternu, czyli III Międzynarodówki. Niepodległość Polski stanowiła dla nich przeszkodę do rozprzestrzeniania się bolszewickiej rewolucji na cały świat.

Gdy mówimy o postaciach niższego szczebla, problem jest poważniejszy. Często nie mieli z komunizmem do czynienia przed 1939 rokiem. A więc dlaczego kolaborowali z sowieckim okupantem? Przecież z niemieckimi nazistami Polacy nie chcieli współpracować. Ich motywacją była na ogół taka, że pragnęli „normalnie” żyć.

Wspomniany prokurator Czesław Łapiński powiedział mi, że żądał kary śmierci dla Pileckiego i mojego Ojca, bo miał rodzinę, dzieci, musiał ich utrzymać. Odpowiedziałem mu: „Pilecki też miał rodzinę, dzieci, też chciał normalnie żyć, tylko jako wolny człowiek w niepodległej Polsce. A różnica między Wami polega na wyborze świata wartości. Pan wybrał służbę okupantowi, a Pilecki walkę o wolną Polskę. Konsekwencją pierwszego wyboru było wygodne życie, konsekwencją drugiego – więzienie i śmierć. Ale to Pilecki wygrał ten bój, jemu będziemy stawiać pomniki. Jego imieniem będziemy nazywać ronda i ulice. A pan, panie prokuratorze, umrze jako kolaborant i zaprzaniec”. I tak rzeczywiście się stało. Pułkownik Czesław Łapiński nie został osądzony za swoje zbrodnie, jedyna „przykrość”, jaka go spotkała, to fakt, że zmarł w szpitalu przy ul. Rotmistrza Pileckiego. Można powiedzieć – chichot historii.

W latach dziewięćdziesiątych Łapiński napisał list do mojego Taty z propozycją spotkania. Najciekawiej brzmiał wyłożony cel takiej rozmowy – „wypracowanie wspólnej oceny tamtych jakże trudnych i skomplikowanych czasów”. Ponieważ Ojciec nie chciał mieć nic wspólnego z człowiekiem, który chciał jego śmierci, postanowiłem pójść na nie sam, choć nie było łatwo stanąć twarzą w twarz z kimś, kto chciał zamordować Tatę. Odwiedziłem go kilka razy na Bielanach, witał mnie zawsze wylewnie od progu, proponował kawę, a potem kłamał jak z nut. Na przykład, że proces Pileckiego to jedyny przypadek w jego karierze. Tymczasem był on wielokrotnym mordercą sądowym. Zaraz po wojnie pracował jako prokurator na Białostocczyźnie w wydziale do spraw doraźnych, gdzie zapadły setki wyroków śmierci na członków niepodległościowego podziemia. Potem, jako szef wojskowej prokuratury w Łodzi, oskarżał między innymi w procesie dowódcy Konspiracyjnego Wojska Polskiego – kapitana Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”. Główny oskarżony i pięciu jego podkomendnych zostali rozstrzelani 17 lutego 1947 roku, tuż przed ogłoszeniem amnestii.

W latach dziewięćdziesiątych postawiono przed sądem tak zwaną parszywą dwunastkę – brutalnych śledczych bezpieki z Adamem Humerem i wspomnianym Eugeniuszem Chimczakiem na czele. Ojciec mój miał zeznawać jako główny świadek oskarżający Chimczaka o znęcanie się nad nim w śledztwie. Odmówił przyjęcia do sądu, zobaczywszy medialne relacje z rozpraw. Jego zeznania złożone wobec prokuratora zostały jednak odczytane. Sąd był zainteresowany przede wszystkim potwierdzeniem wiarygodności świadków, traktując ich niewiele lepiej od oskarżonych. Był to pokaz ignorancji i braku szacunku dla ofiar. Tata w takiej farsie nie chciał uczestniczyć. Uważał, że jest to kpina z wymiaru sprawiedliwości. Można było odnieść wrażenie, że sąd daje wiarę zeznaniom sądzonych. Chimczak zeznał, że nie widział obrażeń na ciele przesłuchiowanych i o nich nie słyszał. Przyznał, że został przez Tadeusza Płuzańskiego oskarżony

o znęcanie się podczas przesłuchań, nazwał to kłamstwem o podłożu politycznym.

Wydaje mi się, że sadzając „parszywą dwunastkę” na ławie oskarżonych i bardzo nagłaśniając medialnie tę sprawę, III RP chciała pokazać, że jest państwem prawa, potrafiącym rozliczyć się z komunistyczną przeszłością. Choć wyroki kilku lat więzienia mogą wydawać się wysokie, większość sadystów nie trafiła za kraty, zasłaniając się wspomnianymi wcześniej zwolnieniami lekarskimi. Tak więc Adam Humer znalazł się na Rakowieckiej tylko na chwilę. Podobno niektórzy starsi funkcjonariusze więzienni, pamiętający chyba swego dawnego przełożonego, odnosili się do „pana pułkownika” z honorami. Eugeniusz Chimczak z kolei żył jeszcze wiele lat. Zmarł w październiku 2012 roku i został pochowany na cmentarzu komunalnym Północnym w Warszawie. Uczestniczyłem w tej ostatniej ziemskiej drodze oprawcy mojego Ojca. Kiedy po uroczystości zapytałem wdowę, Stanisławę Chimczak, czy zdaje sobie sprawę, co jej mąż robił po wojnie, usłyszałem: „Skoro zadaje pan takie pytania, musi pan być synem jakiegoś bandyty, a my z takimi robiliśmy po wojnie porządek”.

Te ubeckie rodziny, potomkowie sowieckich kolaborantów, wciąż opluwają polskich patriotów. Jeśli zaś chodzi o sądenie stalinowskich zwyrodnialców, cofnęliśmy się do czasów sprzed 1956 roku. Trudno się temu dziwić, skoro komunizm w Polsce nie został nawet uznany za zbrodniczy system totalitarny, nie został osądzony, a co za tym idzie rozliczony.

Niedawno, będąc w Hrubieszowie, spotkałem się z Ryszardem Mońko, w stalinizmie zastępcą naczelnika więzienia mokotowskiego do spraw politycznych. Starszy pan był w świetnej formie. Tłumaczył, że jest niewinny, przekonywał, że nikomu nie zrobił krzywdy, stwierdził ponadto, że PRL była legalnym państwem, a więźniowie dążyli do jego obalenia. W normalnym kraju tego typu kłamstwa zostałyby przez wymiar sprawiedliwości zweryfikowane, a człowiek ten siedziałby w więzieniu.

Sprawa ma szerszy kontekst. III RP nie potępiła systemu komunistycznego, szczególnie w sensie prawnym. Stąd nie można dziś ścigać sędziów i prokuratorów totalitarnego państwa za sam fakt, że służyli stalinowskiej machinie zbrodni, żądając kar śmierci dla żołnierzy niepodległościowego podziemia. IPN może oskarżać tylko wówczas, jeśli łamali oni ówczesne obowiązujące przepisy, przekraczając przysługujące im uprawnienia. Wspomniany prokurator Łapiński mógł być sądzony tylko dlatego, że nie dopilnował właściwego składu sądu. Z kolei oficerowi śledczemu trudno udowodnić sadystyczne metody przesłuchań, bo często jego ofiary już nie żyją, więc stawia się mu zarzut niedopełnienia terminów aresztowań. Helenę Wolińską-Brus oskarżono na przykład nie o to, że była krwawą stalinowską prokurator, ale że aresztowała generała Fieldorfa z pogwałceniem prawa, dopiero po dwóch tygodniach od aresztowania go przez bezpiekę.

Wyłania się z tego konkluzja, że gdyby ówczesne prawo pozwalało na wyrywanie paznokci, dziś musielibyśmy uznać, że była to procedura legalna, bez podstaw do ścigania za ten czyn.

Ryszard Mońko, jako druga osoba w hierarchii mokotowskiego więzienia, wie, gdzie mordowano i wywożono więźniów. Wie, że rotmistrza Pileckiego wywieziono na „łączkę”. Nigdy tego jednak nie ujawni, gdyż skierowałby na siebie podejrzenia. Jego zeznania powinny zostać wyegzekwowane pod przysięgą przez sąd. W Polsce te mechanizmy nie działają, dlatego komunistyczni zbrodniarze czują się bezkarni.

Cieężko oszacować, ilu oprawców wciąż żyje wśród nas. Sądzę, że jest ich od kilkuset do kilku tysięcy. Po tak zwanej odwilży 1956 roku wielu funkcjonariuszy bezpośredniego aparatu przymusu kontynuowało kariery w Służbie Bezpieczeństwa oraz w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Zostawali dyplomatami, literatami, a sędziowie i prokuratorzy wziętymi adwokatami.

Ponieważ III RP nie potrafiła poradzić sobie z komunistycznym balastem, nawet symbolicznie, nie dziwny się więc, że przyszłe po-

kolenia będą miały o to do nas pretensje. Nie chodzi o zemstę, tylko o sprawiedliwość. Ofiarom totalitarnego systemu jesteśmy winni jasne potwierdzenie, że ich działalność służyła wolności i niepodległości Ojczyzny, po drugiej zaś stronie byli kaci, którzy ich mordowali.

Polska jest jedyną byłą kolonią Rosji, która z komunistycznych zbrodni się nie rozliczyła. Z powodu braku jasnego podziału na bohaterstwo i kolaborację, dobro i zło tak wielu Polaków wciąż uważa Jaruzelskiego za bohatera, a Kuklińskiego za zdrajcę. A przecież jest całkowicie odwrotnie.

Co ważne, wielkość naszych bohaterów, na przykład niezłomnych Żołnierzy Wyklętych czy osób walczących metodami politycznymi, ujrzymy w pełnej krasie tylko na tle zwyrodnialstwa i bestialstwa ich oprawców.

Cieszy, że w Polsce następuje obecnie eksplozja pamięci o Żołnierzach Wyklętych, głównie wśród młodego pokolenia. Niezłomni trwali na swych pozycjach, choć wiedzieli, że skazani są na porażkę. To żołnierze ostatniego polskiego powstania zbrojnego przeciw Sowietom. Musimy oddać im hołd, jako prawdziwym bohaterom. Nie należy jednak zapominać o drugiej stronie. O tych, którzy ich represjonowali, mordowali – w imię obcego interesu.

„Lista oprawców” przypomina o katach i prześladowcach, niosąc przesłanie w formie przestrogi, że nieukarana zbrodnia może się powtórzyć.

*Tadeusz M. Płużański,
luty 2014*

ANDRZEJEWSKI

LEON



Fot. Archiwum prof. Krzysztoła Szważyka

WŁAŚCIWIE LEON AJZEF VEL LAJB WOLF AJZEN,
URODZONY W 1910 R. W SAWINIE, PUŁKOWNIK UB,
SZARA EMINENCJA BEZPIEKI, ZBRODNIARZ STALINOWSKI.

Uczęszczał do szkół żydowskich w Łodzi. Od 18. roku życia był komunistą, członkiem KPP, potem PPR i PZPR. Przed wojną przez wiele lat (1929–1933 i 1934–1939) był więziony za antypolską działalność. W latach 1939–1941 w okupowanym Lwowie współpracował z Sowiecami jako funkcjonariusz Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR). Imał się różnych zawodów, był m.in. kierownikiem wydziału w fabryce mydła i dyrektorem fabryki zapalek.

Od maja 1943 roku był oficerem politycznym, najpierw w 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, a potem szefem Wydziału Polityczno-Wychowawczego w Centralnej Szkole Podchorążych w Riazaniu. Był też wykładowcą na kursie NKWD w Kujbyszewie. Ale już wkrótce, w maju 1944 roku, z rozkazu dowódcy Zarządu Politycznego WP został zastępcą dowódcy Szkoły Specjalnej NKWD w Kujbyszewie.

Z Kujbyszewa przybył do Lublina. Od 22 sierpnia 1944 roku był kierownikiem ochrony PKWN, a od 12 października 1944 do 19 czerwca 1946 roku zastępcą kierownika Wydziału Personalnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a jednocześnie dowódcą Szkoły Oficerskiej Urzędu Bezpieczeństwa.

W latach 1946–1948 pełnił funkcję dyrektora gabinetu Ministra Bezpieczeństwa Publicznego, a w okresie 1948–1949 zastępcy komendanta Centrum Wyszkożenia MBP w Legionowie. Od 1949 do 1953 roku był wicedyrektorem Departamentu IV MBP (ochrona gospodarki narodowej przed wrogą działalnością), w latach 1953–1954 p.o. dyrektora Departamentu III MBP (walka z podziemiem zbrojnym), a potem do 1955 roku jego wicedyrektorem. W latach 1955–1957 na dyrektorskich stanowiskach w Komitecie ds. Bezpieczeństwa Publicznego.

W 1953 roku przeprowadził urzędową zmianę imienia i nazwiska. Leon Ajzen stał się Leonem Andrzejewskim. Zmienił też imiona rodziców: ojciec Bencjon został Stefanem, a matka Genia Jadwigą.

30 stycznia 1957 roku został odwołany z funkcji. W MSW pracował do 1960 roku. W 1962 roku objął urząd pełnomocnika rządu ds. wykorzystania energii jądrowej.

AMONS

JAN (IWAN)



URODZONY W 1918 R. W SKARŻYCACH KOŁO WINNICY
(OBECNIE UKRAINA), PODPUŁKOWNIK, KRWAWY
STALINOWSKI PROKURATOR WOJSKOWY.

Oskarżał polskich patriotów, którzy zostali następnie skazani na wyroki wieloletniego więzienia. Wielu z nich zamordowano. Choć był Polakiem, do wymiaru sprawiedliwości w powojennej Polsce trafił już jako oficer sowiecki, wcześniej przez lata służący w organach represji ZSRR i Armii Czerwonej.

Już w czerwcu 1944 roku został szefem Wojskowej Prokuratury Rejonowej w „wyzwolonym” Lublinie. Polaków-niepodległościowców prześladował także jako oficer śledczy Prokuratury 1. Armii Wojska Polskiego, prokurator 2. Dywizji Piechoty i wiceprokurator Prokuratury Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W 1946 roku kontynuował swoje krwawe żniwo w Lublinie, potem w Gdańsku, aby w końcu, w 1950 roku, zostać prokuratorem Prokuratury Wojsk Lotniczych. W 1948 roku awansowano go do stopnia podpułkownika.

Oskarżał w procesach politycznych, mimo iż nie posiadał pełnego wykształcenia prawniczego (w 1939 roku skończył jedynie jedno-

roczny kurs prawniczy dla prokuratorów i sędziów śledczych w Chabarowsku nad Amurem). Ze względu na swój kłamliwy charakter sprawy te nazywamy dziś mordami sądowymi. Ludzi skazywano na podstawie spreparowanych dowodów winy.

I tak: w akcie oskarżenia przeciwko płk. Bernardowi Adameckiemu, wobec którego wnosił o wieloletnie więzienie, napisał, iż w lipcu 1946 roku ten komendant Wojskowej Szkoły Technicznej z polecenia płk. Franciszka Hermana rozpoczął tworzenie tajnej organizacji w Wojskach Lotniczych, której celem miało być obalenie siłą władzy państwowej oraz prowadzenie działalności szpiegowskiej na rzecz mocarstw imperialistycznych. W uzasadnieniu czytamy m.in.: *Proces ten to jeszcze jedno zdemaskowanie nikczemnej garstki wykolejeńców narodu polskiego, którzy zdradzili swój kraj i wiernie służyli agentom świata imperialistycznego, dążąc do nowej pożogi wojennej.*

W tym samym procesie żądał kary śmierci dla płk. Józefa Jungrava, płk. Augusta Menczaka, płk. Stanisława Michowskiego, ppłk. Władysława Minakowskiego i płk. Szczepana Ścibiora. Tych pięciu oficerów, a także płk. Adameckiego, sąd skazał na karę śmierci. Bierut nie skorzystał z prawa łaski i 7 sierpnia 1952 roku cała szóstka została zabita strzałem w tył głowy w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Przez lata PRL-u zacierano pamięć o nich. Dziś ich szczątki są odkopywane na tzw. łączce Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie.

Po Iwanie Amonsie ślad zaginął. Wybitny znawca stalinizmu Krzysztof Szwagrzyk napisał: *dalsze losy nieznanne*. Do niedawna wiadomo było jedynie, że w 1954 roku został oddelegowany do ZSRR. Aż nagle prokurator Amons odnalazł się w... Bykowni. I to bynajmniej nie w zbiorowym dole śmierci, ale podczas uroczystości otwarcia polskiego cmentarza wojennego we wrześniu 2002 roku.

W ambasadzie RP w Kijowie Bronisław Komorowski wręczył odznaczenia za zasługi dla Polski przedstawicielom społeczności polskiej

na Ukrainie, ale także obywatelom Ukrainy. Wśród udekorowanych Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi znalazł się... Amons. Po chwili usłyszałem: emerytowany prokurator wojskowy, a dodatkowo jeden z najwybitniejszych badaczy zbrodni stalinowskich popełnionych na Ukrainie. Stalinowski prokurator bada stalinowskie zbrodnie – cóż za chichot historii, pomyślałem. I jeszcze dostaje za to medal od polskiego prezydenta...

Po uroczystości odszukałem prokuratora Amonsa. Fachowo opowiadał, że masowymi grobami w Bykowni zajmuje się od 20 lat. Teraz jest na emeryturze, ale wcześniej, jako pełnomocnik ukraińskiego rządu, odpowiadał za rehabilitacje ofiar represji politycznych w ZSRR. Tu rozmowa urwała się, bo do Amonsa podeszła starsza pani z gratulacjami i podziękowaniem za pomoc udzielaną im, Polakom, w wyjaśnianiu sowieckich zbrodni, za współpracę przy ekshumacjach w Bykowni, za książki. Bo Amons ustalił m.in., że na tym największym ukraińskim cmentarzysku leżą nie tylko polscy oficerowie z ukraińskiej listy katyńskiej, zamordowani w 1940 roku, ale także ofiary antypolskiej akcji NKWD z lat 1937–1938. Ogółem siedem–osiem tysięcy Polaków, dwa razy więcej, niż się przyjmuje.

Wracamy do rozmowy. Amons wspomina, że jest emerytowanym pułkownikiem armii ukraińskiej, a przez 30 lat był prokuratorem generalnym Ukrainy.

– Ma pan wizytówkę? – zapytałem z głupia frant. Okazało się, że mój rozmówca ma na imię nie Jan (Iwan), ale Andrij. W takim razie zapewne jest synem. – Dobrze pan mówi po polsku. Jest pan Ukraińcem czy Polakiem?

– Mama, urodzona w Sokalu pod Lwowem, była Ukrainką, ale ojciec Polakiem.

– To jak to się stało, że został pan tak ważną figurą w ukraińskiej republice rad?

– Też się czasem nad tym zastanawiam.

To był właśnie ten moment, aby spytać o Jana (Iwana) Amonsa.

– Pan był prokuratorem wojskowym, a pana ojciec czym się zajmował?

– Też był prokuratorem wojskowym. W powojennej Polsce służył w LWP.

I już wszystko było jasne, ale zapytałem jeszcze, gdzie tata się urodził.

– W Winnicy – usłyszałem. A w Skarżycach koło Winnicy w 1918 roku urodził się Jan (Iwan) Amons.

– Ale mówił pan, że ojciec służył w Polsce, to jak pan znalazł się na Ukrainie? – dociekałem.

– W 1954 roku ojciec został zwolniony ze służby i trafił na Syberię. Tak odwdzięczyli mu się za pracę w Polsce.

– Do łagru? – zapytałem.

– Nie, na Syberii też był prokuratorem, ale dla niego to było zesłanie. Ale w latach 60. centrala przypomniała sobie o jego zasługach i skierowała go na Ukrainę. Zmarł w latach 90., został pochowany pod Kijowem. Ale w Polsce mam większą rodzinę niż na Ukrainie.

O to, czy Andrij badał też stalinowskie zbrodnie swojego ojca, już nie pytałem. Odpowiedź zapewne byłaby taka: pracował dla legalnego przecież systemu, trwała wojna domowa, tropił „szpiegów” i „bandytów”. Takie były czasy, takie było prawo... Ale pewne jest jedno – medalu za tatusia Andrij Amons by nie dostał. A może przeciwnie? Dziś coraz częściej relatywizuje się komunistyczne zbrodnie i Jan (Iwan) Amons, stalinowski morderca sądowy, mógłby uchodzić za bohatera.

ASPIS

FELIKS



URODZONY W 1901 R. W WARSZAWIE, PUŁKOWNIK,
SĘDZIA NAJWYŻSZEGO SĄDU WOJSKOWEGO,
ODPOWIEDZIALNY ZA SKAZANIE NA ŚMIERĆ OFICERÓW
WOJSKA POLSKIEGO W LATACH 1945–1956.

Od 1918 roku był członkiem Związku Młodzieży Socjalistycznej i Związku Młodzieży Komunistycznej. W 1929 roku ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Do 1939 roku pracował w Sądzie Okręgowym w Łodzi jako aplikant adwokacki i adwokat.

W październiku 1939 roku przedostał się do Lwowa. Na krótko zmobilizowano go do Armii Czerwonej i ewakuowano w głąb ZSRR. Został członkiem Związku Patriotów Polskich. W maju 1944 roku zgłosił się do Ludowego Wojska Polskiego. Od jesieni służył w wojskowych organach sprawiedliwości (czytaj: represji) jako oficer śledczy Naczelnej Prokuratury Wojskowej, a następnie podprokurator Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Warszawie. W 1948 roku został mianowany podprokuratorem w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej. W latach 1950–1957 był sędzią Wydziału II Najwyższego Sądu Wojskowego.

Po śmierci Bolesława Bieruta (12 marca 1956 r.) powołano komisję dla zbadania odpowiedzialności byłych pracowników Głównego Zarządu Informacji, Naczelnej Prokuratury Wojskowej i Najwyższego Sądu Wojskowego za łamanie socjalistycznej praworządności, od nazwiska jej szefa, Mariana Mazura, prokuratora generalnego PRL, zwaną komisją Mazura. W raporcie czytamy o przestępstwach dokonanych przez Aspisa:

ASPIS Feliks, płk rez., b. sędzia Najwyższego Sądu Wojskowego (lipiec 1950–17 styczeń 1957) i szef Biura Prezesa NSW (kwiecień 1952–grudzień 1956), poprzednio prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej, członek partii od marca 1946 r., wnioskowany do pociągnięcia do odpowiedzialności również w rozdziale o prokuraturze, był często przewodniczącym kompletów sędzących NSW (I instancja) bądź członkiem takich kompletów, bądź też sędzią sprawozdawcą na posiedzeniach niejawnych NSW, gdy sąd ten jako II instancja rozpatrywał rewizje. Występując aktywnie w wyżej opisanych rolach, uczestniczył w olbrzymiej większości spraw „spisku wojskowego”, znał je wszechstronnie i gruntownie.

Człowiek zdolny, bystry, doskonale we wszystkim zorientowany, o dużym stażu prawniczym i mocnej pozycji w NSW (zaufany prezesa Świątkowskiego). Przed wojną adwokat. Brał udział w różnych rolach w sądzieniu następujących spraw sfingowanego „spisku wojskowego”:

- *sprawa centralna spisku (Tatar + 8), bez wyroków śmierci (!!!);*
- *sprawa nowego kierownictwa (płk Skibiński + 4), 5 wyroków śmierci, nie wykonano;*
- *sprawa spisku w lotnictwie (płk Adamecki + 7), 6 wyroków śmierci, wszystkie wykonano;*
- *sprawa spisku w O. II Szt. Gen. (mjr Kostuch + 2), 3 wyroki śmierci, 1 wykonano;*
- *sprawa ppłk. Barbasiewiczza, wyrok śmierci, wykonano (skazano po przesłuchaniu 1 świadka oskarżenia);*
- *sprawa mjr. Machalli, wyrok śmierci, wykonano;*

- *sprawa gen. Kuropieski, wyrok śmierci, nie wykonano;*
- *sprawa płk. Oborskiego, wyrok śmierci, wykonano;*
- *sprawa płk. Chojeckiego, wyrok śmierci, nie wykonano;*
- *sprawy: płk. Leszczyńskiego (12 lat), mjr. Litwin-Staszewskiego (dożywocie), płk. Naruszewicza (dożywocie), płk. Kowalskiego (15 lat), płk. Marcinkiewicza (15 lat), mjr. Rękosiewicza (15 lat), płk. Wilocha (10 lat), mjr. J. Romana (dożywocie), cyw. Jachniaka (15 lat), ppłk. Szaada (12 lat), płk. Maszłanki (13 lat), Gadeckiej (13 lat).*
- *Ponadto w pozostałych sprawach „spisku wojskowego” brał udział jako członek zgromadzenia ogólnego NSW, orzekającego jako II instancja.*

Jakie konsekwencje wyciągnięto wobec Aspisa? Został jedynie przeniesiony do rezerwy z powodu niemożności wykorzystania w służbie wojskowej. Został radcą prawnym w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku, a potem w Elektrimie.



ANDREJEW

IGOR

URODZONY W 1915 R. W WILNIE, SĘDZIA, KTÓRY
PODRZYMAŁ WYROK ŚMIERCI NA GEN. AUGUSTA EMILA
FIELDORFA „NILA”, TWÓRCA KODEKSU KARNEGO PRL,
WYKŁADOWCA AKADEMICKI.

Pochodził z wileńskiej spolszczonej rodziny rosyjskiej. Był wnukiem adwokata Bazylego Andrejewa i synem znanego w latach międzywojennych wileńskiego adwokata Pawła Andrejewa. Ojca Sowieci aresztowali zaraz po zajęciu Wilna w 1939 roku; zmarł w 1942 roku na Syberii. Był to odwet za to, że w 1927 roku bronił przed sądem zabójcy sowieckiego dyplomaty, syna białogwardyjskiego działacza.

Igor Andrejew ukończył Gimnazjum im. Joachima Lelewela w Wilnie. Był absolwentem Wydziału Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. Przed wojną pracował jako asystent na Wydziale Prawa USB i aplikant sądowy.

Po wojnie, w 1947 roku, został przymusowo przesiedlony z Wilna do Warszawy, gdzie aplikował w Sądzie Apelacyjnym, ale szybko zaczął orzekać w Sądzie Najwyższym. W 1950 roku obronił doktorat na Uniwersytecie Warszawskim (tytuł rozprawy: *Istota czynu w roz-*

woju nauki burżuazyjnej). Dwa lata wcześniej został dyrektorem Centralnej Szkoły Prawniczej im. T. Duracza w Warszawie. W 1990 roku tak tłumaczył konieczność powstania takiej szkoły: *Tandeta tej edukacji [stalinowscy sędziowie i prokuratorzy kończyli przyspieszone kursy prawnicze] przekroczyła jednak wszelką miarę i (...) aby ratować sytuację (...) jesienią 1948 r. utworzono w Warszawie Centralną Szkołę Prawniczą im. Teodora Duracza, z dwuletnim cyklem nauczania.* „Duraczówka” miała być kontynuacją średnich szkół prawniczych, a naukę w niej określano mianem studiów, choć ze zdobywaniem prawdziwego wykształcenia nie miało to nic wspólnego. Andrejew jednak z dumą stwierdzał: *CSP jest pierwszą w Polsce wyższą uczelnią prawniczą, w której wszystkie przedmioty są wykładane zgodnie z założeniami marksizmu-leninizmu.* Dyrektorem CSP był do 1953 roku.

W 1950 roku został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Był jednym z sędziów, którzy w 1952 roku zatwierdzili wyrok śmierci na gen. Augusta Fieldorfa „Nila”. Rozprawa Sądu Najwyższego odbywała się w trybie tajnym, bez udziału oskarżonego, na podstawie dokumentów rozprawy niższej instancji. Andrejew, podobnie jak pozostali dwaj sędziowie, nie podważył zebranych w ubeckim śledztwie rzekomych dowodów winy generała. Na posiedzeniu 20 października 1952 roku, razem z Emilem Merzem i Gustawem Auscalerem, podtrzymał karę śmierci wobec gen. Fieldorfa. Następnie, 12 grudnia 1952 roku, w tym samym składzie negatywnie zaopiniował prośbę o ułaskawienie.

Kariera Andrejewa rozwinęła się. Był współautorem najważniejszego w okresie stalinizacji Polski podręcznika *Prawo karne Polski Ludowej* (1954). Od 1964 roku był profesorem nauk prawnych, wykładowcą i pracownikiem naukowym Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Nauk Prawnych PAN, a potem dyrektorem tegoż instytutu. Był autorem kilkudziesięciu prac naukowych dotyczących pojęcia przestępstwa, jego ustawowych znamion oraz prac z dziedziny prawa porównawczego. Zajmował się m.in. pojęciem przestępstwa w róż-

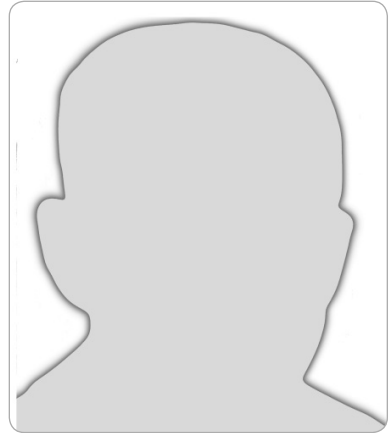
nych krajach, np. w Afryce i państwach bloku socjalistycznego. Napisał książkę o ocenach prawnych karcenia dzieci i związanych z tym problemach.

W końcu Igor Andrejew był współautorem Kodeksu karnego z 1969 roku (obowiązywał do 1997 roku). Był organizatorem studiów zaocznych prawa na Uniwersytecie Warszawskim, wieloletnim prodziekanem Wydziału Prawa, a także przewodniczącym sekcji polskiej Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawa Karnego, gdzie pisywał artykuły m.in. o etyce w wymiarze sprawiedliwości. Został honorowym wiceprezydentem tego stowarzyszenia. Wykładał w Berlinie, Brukseli, Caracas, Frankfurt nad Menem, Freiburgu, Hanoi, Kolonii, Londynie, Mediolanie, Moskwie, Nowym Jorku, Paryżu, Pradze, Rotterdamie, Rzymie, Tbilisi, Tybindze. W 1980 roku poparł „Solidarność”.

Przez lata jego rola w zbrodni sądowej na gen. Fieldorfie nie była szerzej znana. Jeszcze w 1988 roku Uniwersytet Warszawski, dla uczczenia pracy naukowej Andrejewa, opublikował XVI tom *Studia Iuridica*. Rok później, kiedy wyszedł na jaw udział Andrejewa w sprawie Fieldorfa, wykładowcy i studenci przeżyli szok. Andrejewa wykluczono z Rady Naukowej Instytutu Prawa Karnego, a wkrótce potem z Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawa Karnego. Mimo to aż do śmierci Andrejewa w 1995 roku jego podręczniki figurowały w spisie lektur Wydziału Prawa UW. Do uczniów Andrejewa należeli m.in. Lech Falandysz i Lech Gardocki. Przez ostatnie lata życia był sparaliżowany. Pochowano go na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

AUSCALER

GUSTAW



URODZONY W 1917 R. W WARSZAWIE, SĘDZIA SĄDU
NAJWYŻSZEGO.

O Gustawie Auscalerze wciąż wiemy niewiele. Do Polski powrócił z ZSRR w 1946 roku. Pracował w handlu i przemyśle, potem trafił do prokuratury, a następnie do Sądu Najwyższego. Na pewno w latach 50. należał do wyselekcjonowanej przez bezpiekę tajnej sekcji sędziów Sądu Najwyższego (Wydział III Izby Karnej SN), która wydawała wyroki na przeciwnikach politycznych. 20 października 1952 roku, razem z Igozem Andrejewem i Emilem Merzem, podtrzymał karę śmierci dla gen. Emila Fieldorfa „Nila”. Jako jedyny miał wyrażać wątpliwości w sprawie winy polskiego bohatera.

W świetle prawa Auscaler nie był sędzią. Nie spełniał wymaganych kryteriów zawodowych, a jedynie polityczne. Nie skończył nawet studiów – mówił mi przed laty prof. Andrzej Rzepliński z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Z Sądu Najwyższego Auscaler odszedł rok po wydaniu wyroku na generała „Nila”. Został dyrektorem Centralnej Szkoły Prawniczej im. T. Duracza, zastępując na tym stanowisku Igora Andrejewa. Nowa

rola musiała mu się jednak średnio podobać, bo postanowił wyemigrować do Izraela. Wyjechał wraz z rodziną w grudniu 1957 roku. We wniosku paszportowym imiona matki podał w jidysz i hebrajskim. W Izraelu Gustaw został Szmulem i pracował jako prokurator rejonowy w Tel Awiwie. W latach 90., na wniosek wymiaru sprawiedliwości III RP, był bezskutecznie poszukiwany przez Interpol międzynarodowym listem gończym w związku ze sprawą mordu sądowego na gen. Emilu Fieldorfie. Zmarł 10 listopada 1965 roku.

BADECKI

JÓZEF



URODZONY W 1908 R. W UHNOWIE (WOJ. LWOWSKIE),
PUŁKOWNIK, SĘDZIA NAJWYŻSZEGO SĄDU WOJSKOWEGO,
KRWAWY STALINOWSKI SĘDZIA WOJSKOWY.

Magisterium na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie uzyskał w 1933 roku. W latach 1934–1939 pracował jako asesor Sądów Okręgowych w Samborze i Przemyślu. W kampanii wrześniowej dowodził plutonem w batalionie marszowym 5. pułku strzelców podhalańskich. Podczas niemieckiej okupacji był nauczycielem i aplikantem adwokackim w Lublinie i Przemyślu.

Po wkroczeniu Sowieców zgłosił się do LWP. Jako sędzia wojskowy piął się po szczeblach kariery, pracując najpierw w Wojskowym Sądzie Polowym 5. Dywizji Artylerii i Wojskowym Sądzie Okręgowym nr 1 w Warszawie, potem w Wojskowym Sądzie Garnizonowym w Toruniu, a w końcu w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Kielcach. Od 30 sierpnia 1948 do 26 maja 1949 roku był zastępcą szefa WSR w Warszawie.

Józef Badecki uczestniczył w wielu rozprawach przeciwko „wrogom ludu”. Orzekł co najmniej 29 kar śmierci, co plasuje go w czo-

łowie najbardziej krwawych stalinowskich sędziów. Podobnie jak inni, najpierw ogłaszał wyroki, a dopiero później je pisał.

Między 3 a 15 listopada 1948 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie sędzono słynnego cichociemnego mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zaporę” i jego współpracowników. Oskarżał prokurator Tadeusz Malik. Sędzili: Kazimierz Obiada i Wacław Matusiewicz (ławnicy). Rozprawie przewodniczył Józef Badecki.

Władysław Siła-Nowicki (ósmy z oskarżonych, polityczny przełożony zaporczyków, inspektor WiN na Lubelszczyźnie, uniknął kary śmierci ze względu na rodzinne koneksje z twórcą czeki Feliksem Dzierżyńskim) wspominał, że na rozprawę ubrano ich w mundury Wehrmachtu: *Ten mundur hańbił katów, nie ofiary.*

Siła-Nowicki pisał dalej: *Pani Stillerowa [obrońca Nowickiego] poinformowała mnie, że przewodniczący składu Józef Badecki znany jest z bardzo uprzejmego prowadzenia rozpraw i bardzo surowych wyroków. Istotnie, sędzia Badecki, zimny morderca, był cały czas bardzo grzeczny. Od początku zresztą wszyscy byliśmy dla niego morituri...*

Podpisane przez Badeckiego uzasadnienie wyroku z 15 listopada 1948 roku brzmiało (pisownia oryginalna): *Ośrodki dyspozycyjne reakcji polskiej w postaci tzw. emigracyjnego rządu londyńskiego, czy też korpusu Andersa, będące zresztą powiązane z agenturami imperialistycznych kół kapitalistycznych, wykorzystaty dla swych celów specjalne warunki topograficzne woj. lubelskiego, oraz pewną ilość zbatamuczonych członków byłych „AK” z czasów okupacji niemieckiej. (...) Ośrodki dyspozycyjne znalazły odpowiednich zwolenników swej ideologii na przywódców. Do nich zaliczają się oskarżeni. Oskarżony Nowicki reprezentuje raczej czynnik inspiracyjny, jak sam nazywa polityczny. (...) Inni oskarżeni, z Hieronimem Dekutowskim ps. Zapora na czele, są czynnikiem właściwie wykonawczym, o dużym zakresie działania. Tworzą oni ośrodek działalności band terrorystyczno-rabunkowych i dywersyjnych, pełniąc tam funkcje przeważnie dowódców band. Bezwzględność i okrucieństwo oskarżonych zostało wyzyskane przez ich wyższe kierownictwo*

do tworzenia na terenie woj. lubelskiego w okresie od lipca 1944 r. aż do mniej więcej połowy roku 1947 ogniska zamętu i pożogi, które dużym wysiłkiem władz i społeczeństwa musiało być unicestwione.

Zwłoki zamordowanego 7 marca 1949 roku Hieronima Dekutowskiego odnaleziono dopiero latem 2012 roku na warszawskiej „łączce”.

Kpt. Józef Badecki przed Wojskowym Sądem Rejonowym sądził również innego polskiego bohatera – Witolda Pileckiego (ułana II RP, dobrowolnego więźnia Auschwitz, powstańca warszawskiego, żołnierza II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, uznanego przez historię za jednego z sześciu najodważniejszych ludzi ruchu oporu podczas II wojny światowej) i jego „grupę szpiegowską” (Tadeusza Płużańskiego, Marię Szelańską, Makarego Sieradzkiego, Ryszarda Jamontta-Krzywickiego, Witolda Różyckiego, Maksymiliana Kauckiego, Jerzego Nowakowskiego).

15 marca 1948 roku razem z ppłk. Janem Hryckowianem Badecki wydał opinię *w sprawie ewentualnego ułaskawienia skazanych: Z uwagi na popełnienie przez Pileckiego i Płużańskiego najcięższych zbrodni zdrady stanu i Narodu, pełną świadomość działania na szkodę Państwa i w interesie obcego imperializmu, któremu całkowicie się zaprzękali, przejawioną przez nich na przestrzeni dłuższego okresu czasu wyjątkową aktywność w pracy szpiegowskiej, wielką szkodę, jaką wyrządzili Państwu w okresie jego odbudowy (...) skład sądzący uważa, że ci obaj na ułaskawienie nie zasługują.*

Tadeusza Płużańskiego, kuriera Witolda Pileckiego do armii Andersa (podczas wojny wieloletniego więźnia KL Stutthof), Bierut ułaskawił, zamieniając mu wyrok śmierci na dożywocie *ze względu na młody wiek*, a łączniczkę Marię Szelańską *ze względu na płeć*. Pozostałych pięciu „szpiegów” dostało niższe wyroki. 25 maja 1948 roku rotmistrz Pilecki został zamordowany strzałem w tył głowy w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Do dziś jego szczątki są poszukiwane na warszawskiej „łączce”.

9 lutego 1949 roku, na niejawnym posiedzeniu warszawskiego WSR, Józef Badecki jako sędzia sprawozdawca przyczynił się do przedłużenia (*ex post*) tymczasowego aresztowania płk. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”, legendarnego dowódcy Okręgu Wileńskiego AK. Wniósł o to dyrektor Departamentu Śledczego MBP Józef Różański.

W 1956 roku Badecki osiągnął szczyt kariery – został pułkownikiem, a rok później sędzią Najwyższego Sądu Wojskowego. Do stycznia 1968 roku, kiedy to zwolniono go z zawodowej służby wojskowej, pracował w Izbie Wojskowej Sądu Najwyższego.

W „Życiu Warszawy” ukazał się nekrolog: *Dnia 15 lipca 1982 r. zmarł (...) Józef Badecki, płk rezerwy, oficer II Armii WP, odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, krzyżem Virtuti Militari, srebrnym medalem „Zasłużonym na Polu Chwały”, Odznaką Grunwaldzką i innymi odznaczeniami wojskowymi, były sędzia Sądu Najwyższego, wykładowca Oficerskiej Szkoły Prawniczej.* Jak można sądzić, żadnych bezprawnych wyroków nie wydał, gdyż w stalinowskim systemie bezprawia w ogóle nie pracował. Tym samym nie mógł również skazać na śmierć Hieronima Dekutowskiego i Witolda Pileckiego...

Został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

BAUMAN

ZYGMUNT



URODZONY W 1925 R. W POZNANIU, SOCJOLOG,
FILOZOF, TWÓRCA KONCEPCJI PŁYNNIEJ NOWOCZESNOŚCI,
POLITRUK LWP I KBW, AGENT INFORMACJI WOJSKOWEJ.

W kontekście gościnnych występów prof. Zygmunta Baumana na polskich uniwersytetach usłyszałem opinie, że nie ma się za bardzo czym przejmować, bo naukowców zaszczepionych komunizmem było wielu. Ale nie tylko o „heglowskie ukąszenie” tu chodzi. Bauman wyróżnia coś gorszego – udział w stalinowskim aparacie represji. Takich oddelegowanych ze zbrodniczych jednostek na front nauki było już mniej. Słyszałem też, że o powojennych losach Baumana wiemy niewiele, że nie powstała jego biografia. Dlatego jest zapraszany przez nieświadomych niczego ministrów i prezydentów, obsypywany honorami i medalami. To prawda częściowa, bo historycy od lat wiedzą na jego temat wystarczająco dużo. I swoją wiedzę publikują wcale nie w niszowych periodykach. Problem polega na czymś innym – na zainfekowaniu polskich umysłów przez sowieckie „elity”, te przybyłe do nas po wojnie na obcych czołgach, które miały potem wystarczająco dużo czasu, aby wychować swoich następców.

Najstynniejszy żyjący polski socjolog. Wnikliwy filozof. Najlepszy analityk świata ponowoczesnego: świata internetu, rozpadających się więzi międzyludzkich, niepewności. Świata, w którym wszystko płynie – czytamy we wstępie do jednego z wywiadów z Baumanem w „Gazecie Wyborczej”. I tu „zapomniano” o sprawie podstawowej – że owa sława socjologii, bohater salonów Warszawy, Wrocławia, Poznania, sam aktywnie przyczynił się do rozpadu dawnego świata i jego tradycyjnych wartości i więzi.

Unicestwiał przynajmniej dwutorowo: jako politruk Ludowego Wojska Polskiego i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a także agent Informacji Wojskowej. A od 1953 roku robił to samo – tylko po podlaniu naukowym sosem – jako socjolog. Obie te aktywności Baumana były ze sobą ściśle związane. W dokumencie z 1950 roku, kiedy dostał awans w KBW, czytamy: *Jako szef Wydziału Polityczno-Wychowawczego (...) bierze udział w walce z bandami [polskim podziemiem niepodległościowym]. Przez 20 dni dowodził grupą, która wyróżniła się schwytaniem wielkiej ilości bandytów. Odznaczony Krzyżem Walecznych.* I dalej: *Mjr Bauman ma przed sobą poważną perspektywę naukową.* Czyli nie tylko „uświadamiał” żołnierzy w duchu zbrodniczego stalinizmu, ale osobiście zwalczał „bandy” (można spytać, co było gorsze: hodowanie morderców czy własny udział?).

Podkreślić trzeba zresztą, że naukowa kariera Baumana rozpoczęła się, zanim ruszył w teren ścigać akowców. Zaraz po ucieczce z Polski we wrześniu 1939 roku (zamiast walczyć z okupantami) podjął studia na sowieckich uniwersytetach, choć dla obywatela polskiego, pozbawionego wiadomych powiązań, nie było to możliwe. Potem, będąc jeszcze w KBW, uczył się w partyjnej Akademii Nauk Społecznych i Politycznych, a następnie na Uniwersytecie Warszawskim (promotorem jego pracy magisterskiej był słynny marksistowski ideolog prof. Adam Schaff). Jako asystent innego stalinowca, Juliana Hochfelda, zrobił błyskawiczną karierę naukową. W 1956 roku

obronił pracę doktorską, a cztery lata później zrobił habilitację. W latach 60. wykładał także w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy Komitecie Centralnym PZPR, kuźni sowieckich „elit”.

I major profesor Bauman robi to samo do dziś – indoktrynuje nas w duchu ponowoczesnym (postalinowskim). Dziennikarka Aida Edemariam z brytyjskiego „Guardiana” tak opisała poglądy Bauma-na: *Utrzymuje, że nowoczesność stworzyła idealne warunki, aby działać nieetycznie, gdzie posłuszeństwo przelożonym było wartością najwyższą, a wielopoziomowość częściowo uniemożliwiła zwykłym ludziom zrozumienie konsekwencji własnych uczynków.* No właśnie, w czasach nowocześnie (stalinowskich) Bauman nie zdawał sobie sprawy, co się dookoła dzieje. Był posłuszny przelożonym, wykonywał rozkazy. Czy taka osoba może być winna? Ale na wszelki wypadek lepiej uciec od nowoczesności (stalinowskiej przeszłości) w ponowoczesność, gdzie wszystko jest płynne, relatywne.

Jak napisała dalej dziennikarka, według Baumana w czasach nowocześnie *wzięcie osobistej odpowiedzialności i postępowanie moralne stało się większą próbą charakteru niż kiedykolwiek przedtem w historii.* Nie ulega wątpliwości, że Bauman tej próbie nie sprostał. Tego oczywiście nie przyzna, twierdząc, że komunizm był najlepszym wyborem dla Polski, bo w II RP i w jego rodzinie była bieda: *Partia komunistyczna obiecywała rozwiązania najlepsze.* Ale nie powie już, że partia komunistyczna, jako antypolska, była zdelegalizowana.

Koncepcja płynnej ponowoczesności ma swoje praktyczne cele: służy ochronie, relatywizacji i usprawiedliwianiu własnego życiorysu (w duchu „dałem się uwieść”), aby nie musieć się zeń w żaden inny sposób rozliczać, aby nikogo nie przeproszać – ani żołnierzy wyklętych, ani tych, których umysły zniewalał. Znosi jednostkową winę. Owa ponowoczesność służy też rozmywaniu odpowiedzialności innych stalinowców, usprawiedliwianiu całej formacji. A usprawiedliwiają się też, wzorem propagandy z lat 50., zagrożeniem ze strony „faszystów”. Przecież podczas zakłóconego wykładu profesora na

Uniwersytecie Wrocławskim problemem nie był Bauman, ale grupka kibiców przypominających o jego zbrodniczej przeszłości.

Teraz powiedzmy sobie jasno: kariera od politruka do naukowca nie byłaby możliwa, gdyby Bauman i jego koledzy najpierw nie pozbyli się fizycznie prawdziwych polskich elit, a później nie wyrzucili niedobitków z uczelni. Najpierw ścigali „watahy” po lasach, a potem dorzynali je na uniwersytetach. Tak zamordowano „Łupaszkę”, „Zaporę”, Pileckiego i dorżnięto Kotarbińskiego, Tatarkiewicza, Ossowskich. Dzisiaj potomkowie tych niedobitków upominają się o prawdę. Dla nich bohaterem jest Pilecki i Kukliński, a nie Jaruzelski czy Bauman. W Polsce ten podział jest czytelny. Ciekawe jest natomiast to, jak przeszłość Baumana – i dzisiejsze tego konsekwencje – jest postrzegana na świecie. A można ją poznać właściwie tylko przez pryzmat jednego jedyne go wywiadu, jakiego profesor udzielił wspomnianemu już brytyjskiemu „Guardianowi” (28 kwietnia 2007). Przyjrzyjmy się temu dokładniej, bo cały wywiad nie jest w Polsce znany, a ciekawy z punktu widzenia zarówno historycznego (poznania życiorysu Baumana i jego formacji), jak i socjologicznego (ponowoczesnego).

Dziennikarka Aida Edemariam we wstępie do rozmowy pisze: *W ostatnich latach stało się pewną modą – zwłaszcza w krajach takich jak Niemcy i Polska, które najbardziej ucierpiały wskutek ideologicznych szaleństw połowy XX wieku – aby grzebać w przeszłości i wytykać winnych palcami w gestach świętego oburzenia. Grzebanie w dawno zamkniętych [czyżby?] archiwach stało się podniecającym zajęciem; zwłaszcza że na ogół przedstawiane jest jako poszukiwanie prawdy i rozcinanie ropiejących wrzodów.* Potwierdza się zatem, że „grzebanie w życiorysach” nie jest polskim pomysłem, ale kalką tego, co w odniesieniu do funkcjonariuszy komunizmu święci od lat triumfy na świecie. A dzisiejsze „mody” to – jak można wnioskować – jedyna trauma po komunizmie. Dziennikarka „Guardiana” kontynuuje: *Jednakże rodzą się pytania, jakie mają teraz znaczenie niektóre z tych odkryć i czy po-*

winni one rzucać cień na całe życie ludzi uwikłanych. No właśnie – nie mówmy o życiorysach, tylko o błędach młodości. To przecież było dawno. Zrzućmy zasłonę milczenia. Budujmy przyszłość. A mordercy to ludzie „uwikłani”...

Dziennikarka powołuje się dalej na Timothy’ego Gartona Asha i na apele tego oksfordzkiego historyka (zwolennika ponowoczesności), aby w dzisiejszym „grzebaniu w życiorysach” nie pomijać *kontekstu realiów ówczesnych czasów*, a także *zrozumieć dzisiejsze motywy i cele, które często stoją za takim a nie innym kontekstem tych ujawnień.* Zgoda – to spróbujmy zrozumieć Stroopa, Eichmanna, Hitlera, a także motywy tych, którzy ujawniają ich zbrodniczą przeszłość. Może okazać się, że cel tych działań też jest nieczysty.

Następnie dziennikarka przywołuje tekst historyka Bogdana Musiała sprzed lat, *w prawniczym czasopiśmie „OZON”* [ówczesne pismo Palikota], *który oskarżył [nie opisał] Baumana (...), że był on płatnym agentem polskiej służby bezpieczeństwa i że brał udział w politycznych czystkach przeciwników reżimu komunistycznego.* Przypomina wcześniejszego kozła ofiarnego podnieconych „grzebaczy”, Güntera Grassa, *któremu nieco udało się powstrzymać „święte oburzenie” poprzez ujawnienie swego krótkiego epizodu służby w SS w autobiografii.* I tu – przypadkowo – „Guardian” trafił w sedno. Po tekście prof. Musiała Bauman miał możliwość odpowiedzi, wyznania win, poproszenia o przebaczenie. Nie skorzystał jednak z tej okazji. Nie potępiając komunizmu i swojego „uwikłania”, postanowił dalej umoralniać innych.

Z takiej szansy nie skorzystał również w wywiadzie dla „Guardiana”, odsłaniając swoją ponowoczesną strategię: *Wie Pani, nie zaszczytę Musiała odpowiedzią. Dlaczego? Nie chcę dodawać wagi ani ważności do czegoś, co składa się z półprawd i 100% kłamstw.* Potem profesor płynnie sam sobie zaprzeczył, przyznając, że w artykule zawarta jest jednak prawda: *Byłem komunistą, ale to nic nowego, wszyscy to wiedzą – pomiędzy 1946 i 1967 – i że przez kilka lat służyłem w tzw.*

korpusie bezpieczeństwa wewnętrznego. Tu ponowoczesność Baumana kazała mu zaciemnić prawdę (czy też zastosować półprawdy, które zarzuca Musiałowi). Bo czy zachodni czytelnik dowie się, czym był KBW? Nie, oprócz tego, że zwalczał *terroryzm wewnątrz kraju*. Ani słowa o tym, kim byli owi „terrorysty”. A przede wszystkim o tym, że KBW był zbrojnym ramieniem sowieckiego okupanta, utworzonym na wzór NKWD, przeznaczonym do pacyfikacji polskich niepodległościowców. Oczywiście nie ma też nic o Baumanowym Krzyżu Walecznych i powodach jego przyznania. Ani o wcześniejszej służbie w sowieckiej milicji w Moskwie, która bezpośrednio podlegała NKWD i do której nikt z ulicy (podobnie jak wcześniej na stalinowski uniwersytet) nie mógł trafić.

Dziennikarka „Guardiana” dalej „rozbraja” życiorys Baumana: *Zaciągnął się do 4. Dywizji polskiej armii na uchodźstwie [raczej na zesłaniu] – nie wstąpił do Armii Czerwonej, jak niektórzy utrzymują – z którą wrócił do Polski.* Tyle tylko, że owa 4. Dywizja Piechoty Ludowego Wojska Polskiego podlegała Armii Czerwonej. Takich nieodpowiedzi jest w wywiadzie więcej.

Według Baumana *jedyną nowością jest to, że przez trzy lata (tylko!) byłem tajnym agentem, gdy miałem 19 lat, i za to ponoszę pełną odpowiedzialność.* Wraca wątek błędów (bo przecież nie grzechów) młodości. Ale cóż znaczy ta „pełna odpowiedzialność”, tego znów przeciętny brytyjski zjadacz chleba nie dowie się. Czy to odpowiedzialność moralna, a może karna – że chciałby stanąć przed obliczem niezawisłego (i postkomunistycznie pobłażliwego) sądu w oczekiwaniu na sprawiedliwą karę? Wolne żarty! Bauman po prostu ponowocześnie lawiruje. A czymże była „polska służba bezpieczeństwa”? Tego też nie usłyszymy. Nie usłyszymy, że Baumana „uwiodła” Informacja Wojskowa, stworzona przez Sowietów i im bezpośrednio podlegała, która okrucieństwem przebijała nawet słynną cywilną bezpiekę. A co robili agenci IW? Donosili na kolegów z takim skutkiem, że ściągali na nich represje. Bauman oczywiście ma swoje ponowoczesne wyflu-

maczenie: *Każdy porządny obywatel powinien uczestniczyć w kontrwywiadzie. To jest jedyna rzecz, którą utajniłem, bo przecież podpisałem zobowiązanie, że zatrzymam to w tajemnicy.* Bauman oczywiście nie powie (a dziennikarka nie dopyta), że czym innym jest kontrwywiad własnego, suwerennego państwa, a czym innym państwa okupacyjnego, ścigającego własnych obywateli za patriotyzm. Ale przy okazji profesor, chyba tracąc na chwilę „rewolucyjną czujność”, przyznał, że pozostał wierny tamtej Polsce – kolonii Stalina. Tylko że takich niuansów człowiek Zachodu znów nie zrozumie. Tym razem „dociekliwa” dziennikarka dopytuje: *Czy kontrwywiad oznaczał donoszenie na ludzi, którzy walczyli przeciwko komunistom?* Odpowiedź: *Tego ode mnie oczekiwano, ale nie pamiętam, żebym cokolwiek takiego robił. Nie miałem nic do roboty – siedziałem w biurze i pisałem – to nie była dziedzina, w której mogłem zebrać cokolwiek ciekawego.* Ale dziennikarka nie daje za wygraną: *Czy zrobił Pan coś, co mogło komuś zaszkodzić?* Bauman: *Nie potrafię na to odpowiedzieć. Nie wydaje mi się, żeby tak było.*

Przypomnijmy zatem profesorowi opinię oficera prowadzącego TW Semjona (czyli Baumana): był *dobrze wyszkolony. Materiały jego są cenne i dają analizę pracy aparatu polityczno-wychowawczego.* Nie trzeba być zresztą specjalistą od stalinizmu, aby wiedzieć, że każdy donos w każdych czasach przynosi szkodę. Nie ulega jednak wątpliwości, że w dyktaturach dużo większą.

W „Guardianie” cytat ten nie pada (bo niby skąd brytyjska dziennikarka ma o tym wiedzieć?), za to profesor twórczo rozwija swoją koncepcję ponowoczesności: *Wtedy wydawało mi się to właściwe. Niektóre wybory w każdym życiorysie mogą być uznane jako błędne, tyle tylko, że nie muszą być oczywistymi błędami w czasie, gdy ich się dokonuje. Miałem wtedy 19 lat i nie wiedziałem wówczas tyle, ile wiem dziś, mając 82 lata.*

Jakże przypomina to słowa Adama Michnika o jego bracie Stefanie (stalinowskim sędzim wojskowym, również tajnym współpra-

cowniku Informacji Wojskowej): *Kiedy zapadały najgorsze wyroki, Stefan był dwudziestoparoletnim człowiekiem, który niewiele rozumiał z tego, co się działo. Naturalnie to go nie usprawiedliwia, ale nie uzasadnia też aż takiego eksponowania jego roli w stalinowskich zbrodniach sądowych. Czy to nie ponowoczesność?*

O agenta Semjona dziennikarka już nie dopytywała (a gdyby jej rozmówca powiedział: byłem nazistą, pracowałem w SS, współpracowałem z Gestapo, ale miałem 19 lat – to też by odpuściła?). Zadowolili się stwierdzeniem: *Naprawdę nie chcę o tym mówić, ponieważ Pani popycha mnie w kierunku zrobienia czegoś, czego nie chcę zrobić, próbuje nadać znaczenie czemuś, co jest bez znaczenia.* I tu mamy smutną puentę: przeszłość jest dla Baumana bez znaczenia. Niestety dla organów ścigania III RP także. Tak jak przeszłość Stefana Michnika, który kiedyś był łaskaw stwierdzić: *Przeszłość jest moją prywatną sprawą.*

W końcu Bauman został rewizjonistą, za co – jak twierdzi – słono zapłacił. *To, czego brakuje w tych opowieściach [Musiała], to to, że współpracowałem przez dwa-trzy lata, a przez 15 lat bezpieka mnie prześladowała. (...) Szpiegowano mnie, donoszono na mnie, mój telefon był na podsłuchu itd. Wyrzucili mnie z KBW i w końcu, jak Pani wie, wyrzucili mnie też z uniwersytetu i zakazano publikacji mych prac. (...)* Czuję się bardziej ofiarą – kwituje Bauman.

A przecież przez te wszystkie lata, kiedy był „prześladowany”, wykladał dalej – na UW i WSNS. Kształcił kolejnych „homo sovieticus”, najpierw bardziej stalinowskich, potem bardziej rewizjonistycznych. Bo okupacyjna władza wciąż potrzebowała nowych „elit”, które zastępowały te prawdziwe, przedwojenne.

Bauman przyznaje, że od marksizmu odchodził długo (o tym, że system mordował, dowiedział się dopiero po referacie Chruszczowa – czyli w KBW nic nie robił, niczego nie widział, niczego nie słyszał?). Na dobre odszedł dopiero wtedy, gdy sam system go odrzucił. Ale czy na pewno? Przecież ponowoczesność ze swoim relatywizmem i zerwaniem z tradycyjną konstrukcją świata jest w marksizmie głę-

boko osadzona. Paradoksalnie, to właśnie po 1968 roku, kiedy opuścił Polskę, wypłynął na szerokie wody i stał się „najlepszym analitykiem” stworzonej przez siebie, utopijnej i szkodliwej koncepcji, która pozwoliła mu również naukowo uciec od jego dawnych win.

Oczywiście Bauman nie był jedynym, który dał się „uwieść”, a potem kazał swoje „uwiedzenie” zrewidować. „Uwiedziony” został Leszek Kołakowski, Bronisław Baczko, Włodzimierz Brus i młodszy Seweryn Blumsztajn, Waldemar Kuczyński, Stefan Meller, Adam Michnik, Aleksander Smolar czy Henryk Szlajfer. Starsi zostali „autorytetami” światowymi, młodszy na ogół tworzyli okrągłostołowy „salon” tu, na miejscu. Czy możemy się dziwić, że bronią dziś swojego mistrza?

Z przedstawicielką takiej postalinowskiej „elity” – prof. Aleksandrą Jasińską-Kanią, córką agenta NKWD Bolesława Bieruta – Bauman mieszka pod jednym dachem w Leeds (wcześniej był promotorem jej pracy doktorskiej *Karol Marks a problemy alienacji we współczesnej socjologii amerykańskiej*). Prowadzą wspólne seminaria. Ale naukowo udziela się nie tylko na Zachodzie. W Teremiskach na Podlasiu został rektorem Uniwersytetu Powszechnego im. Jana Józefa Lipskiego. Młode, ponowoczesne kadry dalej są płynnie wykuwane. Zygmunt Bauman nie mówi, że mógł odejść z wojska i nie wstępować do zbrodniczego KBW, że dokonał wyboru. Często zresztą słychać dziś, że bez tego młodzieńczego, właściwie niewinnego ukąszenia, nie zostałby „wnikliwym filozofem, najlepszym analitykiem świata ponowoczesnego”. Tylko co mają powiedzieć ci młodzi ludzie, którzy ginęli z rąk NKWD, KBW, IW, UB? Też mogli wyrosnąć na profesorów, ale nie ukąszonych. W przeciwieństwie do Baumana, bardzo nam ich we współczesnej Polsce brakowało i brakuje.

Bauman nie tylko dostaje nagrody, ale sam je przyznaje. Nagroda imienia jego zmarłej żony, pisarki Janiny Bauman (tysiąc funtów), trafia co roku do autora najciekawszej pracy z zakresu etyki i moralności. A ja bym wolał – w tej samej kategorii – nagrodę im. rotmistrza Pileckiego. Byłoby bardziej etycznie i moralnie.



BIK VEL BUKAR, VEL GAWERSKI

JÓZEF

URODZONY W 1909 LUB 1922 R. W ŁAŃCUCIE, KIEROWNIK WYDZIAŁÓW ŚLEDZCZYCH WUBP W GDAŃSKU I KATOWICACH, ODPOWIEDZIALNY ZA REPRESJE WOBEC ŻOŁNIERZY AK, W TYM DANUTY SIEDZIKÓWNY „INKI”.

Po 1968 roku uciekł do Szwecji, ale z Polską czuł się nadal związany – za pośrednictwem sądu wyżebrał od ZUS podwyżkę emerytury. W sprawie karnej – o zbrodnię komunistyczną – sąd okazał się bezradny.

Józef Bik-Bukar-Gawerski w 2003 roku przysłał do Instytutu Pamięci Narodowej list, w którym prosił o wydanie zaświadczenia, że w latach 1945–1953 pracował w... bezpiece. Było mu potrzebne, aby starać się o wyższą emeryturę. W ten sposób oprawca, po 35 latach, odnalazł się. Wcześniej śledztwo przeciwko Bikowi nie mogło ruszyć z miejsca, bo prokuratorzy IPN nie znali miejsca jego zamieszkania.

Akt oskarżenia brzmiał: *Józefowi B. zarzucamy popełnienie zbrodni komunistycznej, której dopuścił się w czasie przesłuchań członków organizacji Polskie Siły Demokratyczne i Polska Tajna Armia Wyzwoleńczo-*

Demokratyczna. Bił ich, znęcał się i zmuszał w ten sposób do składania zeznań.

Zarzuty dotyczyły lat 1948–1949, kiedy Bik był zastępcą naczelnika Wydziału Śledczego WUBP w Katowicach. Więźniowie zapamiętali, że miał „ciężką rękę”. Okładał ich nogą od stołka po plecach, gumą po gołych piętach, kopał w jądra i bose stopy.

Z zeznań świadka: Bik spytał mnie, co to jest demokracja. Odpowiedziałem, że to musi być coś dobrego, bo o tym w gazetach piszą. Wtedy on z całej siły uderzył mnie pięścią w zęby, wybijając mi obie górne jędynki. Inny więzień o mało nie stracił życia wskutek pobicia. Po wyjściu na wolność nie odzyskał zdrowia i wkrótce zmarł.

Bik nie tylko sam znęcał się fizycznie i psychicznie nad osadzonymi, ale namawiał do przemocy swoich podwładnych. Ciągnęła się za nim „sława” oprawcy. Czy dlatego zmienił nazwisko? On sam podawał inny powód: *Melduję, że w związku z ośmieszającym brzmieniem mego dotychczasowego nazwiska, decyzją władz administracyjnych zmieniłem dotychczasowe jego brzmienie na Bukar Józef (...). Jednocześnie melduję, że w dniu 4 marca 1950 r., na podstawie zezwolenia Departamentu Kadr MBP, zawarłem związek małżeński z (...), na co przedkładałam odpis aktu ślubu.*

W 1953 roku został wyrzucony z bezpieki. Mogły się do tego przyczynić kontakty z gen. Wacławem Komarem (Mendlem Kossojem, funkcjonariuszem MBP i KBW, weteranem wojny w Hiszpanii, oczywiście po tej „słusznej” stronie), oskarżonym o „odchylenie pracowo-nacjonalistyczne”.

Nie wiadomo, co Józef Bukar robił później, ale znów zmienił nazwisko i stał się Józefem Gawerskim, po czym wyjechał z Polski – jak wielu innych stalinowców – na fali pomarcowej emigracji 1968 roku. Schronił się w Szwecji.

Katowicki IPN skierował co prawda do sądu akt oskarżenia przeciwko Bikowi-Bukarowi-Gawerskiemu, ale przez dłuższy czas nie wyznaczono terminu rozprawy, z powodu – jak oficjalnie tłumaczono – natłoku spraw. Akta wędrowały między sądami, w międzyczasie

były sezony urlopowe. Potem postępowanie blokował adwokat, wnosząc o jego zawieszenie – oczywiście ze względu na stan zdrowia jego klienta. Sędzia musiał prosić Szwedów o przeprowadzenie badań lekarskich oskarżonego, a gdy wreszcie dotarły do Polski, trzeba je było przetłumaczyć. Tak mijały kolejne miesiące.

Sam Gawerski utrzymywał przez swojego obrońcę, że chce uczestniczyć w procesie. Ale tak chciał, że nie stawiał się na wezwania. Nie zgodził się również na prowadzenie sprawy pod jego nieobecność.

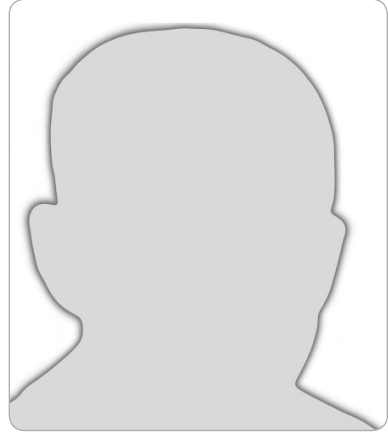
Nazwisko Bika pojawia się także w związku ze śledztwem IPN w sprawie sądowego mordu na Danucie Siedzikównie „Ince”, bohaterkiej sanitariuszce Brygady Wileńskiej AK Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Bik był wówczas naczelnikiem Wydziału Śledczego WUBP w Gdańsku. 2 sierpnia 1946 roku, w piśmie do tamtejszej prokuratury wojskowej, informował: *Przesyłam akta sprawy przeciwko Siedzikównie Danucie, ps. Inka, w celu przekazania do Wojskowego Sądu Rejonowego w trybie postępowania doraźnego*. Za ten okres „pracy” też chciał wyższą emeryturę.

A więc przed Katowicami był Gdańsk. Po drodze była jeszcze Warszawa. Sześć dni po egzekucji „Inki” (w nagrodę?) Bik został oficerem śledczym w centrali MBP. W Katowicach wylądował ostatecznie rok później, jako porucznik, odznaczony Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz Orderem Odrodzenia Polski.

W Polsce po 1989 roku ten stalinowski oprawca medali już nie dostawał. Ale wyższą emeryturę i owszem! W tej kwestii – chory dla organów ścigania – był wyjątkowo energiczny. Kiedy sąd niższej instancji odmówił mu, odwołał się i wygrał. Nie tylko lepiej wyliczane bieżące uposażenie, ale także wyrównanie za ubeckie zbrodnie z lat 1945–1953 (jako Bik, a po 1950 roku jako Bukar) oraz okres późniejszy, aż do wyjazdu z Polski w 1968 roku (jako Gawerski).

Oskarżony przez IPN Józef Bik-Bukar-Gawerski zmarł w 2008 lub 2009 roku w Szwecji, nieosądzony, ale za to z wysoką emeryturą za ciężką pracę w organach bezpieczeństwa.

BRUN --- JULIAN



URODZONY W 1886 R. W WARSZAWIE, POLSKI I SOWIECKI
DZIENNIKARZ I KRYTYK LITERACKI.

Od lat jest patronem stołecznej ulicy łączącej Aleję Niepodległości z ulicą Rakowiecką. Z niepodległością Polski nie miał nic wspólnego, z Rakowiecką i owszem. Sam, jako komunistyczny zdrajca II Rzeczypospolitej, spędził chwilę w tutejszym areszcie, a gdyby dożył Polski powojennej, sowieckiej, o której marzył, patronowałby więzieniu i mordowaniu Żołnierzy Wyklętych i polskich działaczy politycznych sprzeciwiających się stalinizacji. Ten kominternowiec, sługa wszechświatowej rewolucji, tępiłby Polaków tak jak w 1920 roku i przez większość życia.

W Internecie czytamy manifest mokotowskiego SLD przeciwko zmianie nazwy ul. Bruna: *W opinii radnych Sojuszu Macieja Rasia i Hanny Brózdy działania prawicy są motywowane względami ideologicznymi. Ich zdaniem prawica dąży do zatarcia pamięci historycznej o postaciach polskiej lewicy i prowadzi do niszczenia pluralizmu historycznego. Politycy SLD wskazali również na ekonomiczne konsekwencje zmiany patrona ulicy.*

Juliana Bruna tylko z racji miejsca urodzenia w Warszawie można nazwać działaczem polskim, bo przecież międzynarodówka komunistyczna była antypolska z zasady. Już w 1905 roku związał się z Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy. W 1920 roku tak „bronił” Polski przed najazdem bolszewickim: *Jedynie my, komuniści, możemy dziś w Polsce z podniesioną głową wspominać w całej prawdzie wobec mas ludowych Polski rok 1920. Jedynie my, komuniści, broniliśmy w roku 1920 sprawy ludu pracującego Polski (...). Jedynie nasi polegli – bojownicy Czerwonej Armii i bojownicy Polskiej Republiki Socjalistycznej, pomordowani przez sądy doraźne burżuazji i bez sądu – padli za sprawę ludu pracującego Polski.*

Od 1919 roku Brun należał do klonów Kominternu: Komunistycznej Partii Polski, a potem Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. W 1931 roku pisał: *Zjednoczenie rozdartych przez imperializm polski ziem Białorusi i Ukrainy w jedną republikę radziecką przez połączenie UZ i BZ [Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej] z USRR i BSRR [Ukraińską i Białoruską Socjalistyczną Republiką Radziecką] jest nadal naszym programowym żądaniem, jest jedynie słusznym proletariackim zastosowaniem zasady samookreślenia, aż do oderwania [od Polski] w stosunku do UZ i BZ. Nadal będziemy propagować takie rozwiązanie, jako jedyne całkowite rozwiązanie kwestii narodowej, jedyne rzeczywiste wyzwolenie narodowe.*

W 1925 roku doigrał się. Za swoją antypolską działalność komunistyczną sąd II RP skazał go na osiem lat więzienia. Jednak już rok później został zwolniony i wymieniony na polskich patriotów więzionych w ZSRR. Wyjechał do Moskwy, skąd jako korespondent sowieckiej agencji TASS jeździł m.in. do Paryża i Wiednia. Ten jakże „oddany Polsce” obywatel większość życia spędził poza Polską.

Jeszcze podczas uwięzienia na Rakowieckiej napisał rozprawę literacką *Stefana Żeromskiego tragedia pomyłek*, która została opublikowana na łamach pisma „Skamander”, stając się swego rodzaju literackim manifestem polskich komunistów. Bo polskim krytykiem

literackim i publicystą Bruna też trudno nazwać, bowiem nawet gdy pisał po polsku, w duchu było to sowieckie, czyli antypolskie.

Ale dzisiejsi lewicowcy wiedzą lepiej: *Jako pierwszy z tabliczki ma spaść Julian Brun. Jedną z większych zbrodni tego lewicowego, a nawet komunistycznego działacza – gwoli ścisłości powiem, że za swoje przekonania przesiedział w sanacyjnych więzieniach osiem lat – są literackie inklinacje. Brun, jako dziennikarz-publicysta i krytyk literacki, ośmielił się popełnić dzieło pt. Stefana Żeromskiego tragedia pomyłek, które traktuje o polityczno-ideowych rozterkach polskiego inteligenta w okresie międzywojennym. Już wtedy ten działacz zauważył jawną niesprawiedliwość, która stacza świat ludzi pracy na margines życia.*

Brun dążył do pozbawienia Polski niepodległości i wcielenia jej do sowieckiego imperium. W 1934 roku pisał: *Polska faszystowska jest najistotniejszym ogniwem frontu antyradzieckiego. Polityka zagraniczna Polski faszystowskiej od początku jej istnienia ma jeden cel: wojnę przeciw ZSRR. Militarizm polski, polska armia burżuazyjna jest budowana, tresowana i zbrojona za krwawe grosze wyciskane z mas pracujących dla jednego celu: wojny przeciw ZSRR. (...) Jeśli zwycięska rewolucja proletariacka nie chwyci za gardło burżuazji polskiej, zanim ona urzeczywistni swoje krwawe plany, bądźmy gotowi do przeciwstawienia jej wewnątrz kraju rewolucyjnego frontu walki o polski Październik, o polską Republikę Socjalistyczną.*

Dzisiejsza lewica podkreśla, że owa Polska Republika Socjalistyczna byłaby bardziej Polską, niż Sowietami. I powołuje się na swojego mistrza. W 1935 roku Brun napisał: *Związek Radziecki jest związkiem dobrowolnym, a już to znaczy, że Polska Radziecka, gdyby była powstała w roku 1920 i kiedy powstanie w przyszłości, wcale nie „musi” wejść do tego Związku, lecz ułoży sobie swój stosunek doń tak, jak będą chciały zwycięskie i wszechwładne w Polsce po zwycięstwie nad burżuazją masy pracujące. To jest pewne, że Polska Radziecka nie będzie zmuszać żadnego z narodów, dzisiaj podbitych i ujarzmionych przez imperializm polski, do jedności państwowej z narodem polskim. Dowodem*

ma być przywoływana przez Bruna wojna polsko-bolszewicka: *Rząd radziecki w roku 1920 nie myślał ani przez chwilę o „wcieleniu” Polski do federacji radzieckiej. (...) Żadnego zagrożenia niepodległości narodu polskiego w wojnie 1920 roku nie było.*

Ale przecież to absurd. To prawdziwa tragedia pomyłek. Niepodległość Polski w ramach sowieckiego imperium? Wolny Polak w morderczym totalitaryzmie? Przerabialiśmy to po wojnie. Brun nie miał zresztą wątpliwości. Do końca życia (zmarł 28 kwietnia 1942 roku w Saratowie) twierdził, że ZSRR to *jedyna ojczyzna robotników i chłopów całego świata.*

Ale nie tylko Warszawa ma problem z Brunem. Podobnie jest w Słupsku. W PRL-u tamtejsze osiedle nazywało się Budowniczych Polski Ludowej. W III RP budowniczzy zbankrutowali, osiedle przemianowano na Niepodległości, ale Brun pozostał. Batalia o usunięcie jego patronatu nad ulicą trwała kilka lat, ostatecznie mieszkańcy opowiedzieli się w ankiecie za pozostawieniem kominternowca, mimo iż zmiana dokumentów odbyłaby się na koszt miasta.

Wspomnijmy jeszcze o rodzinie Juliana Bruna. Jego siostra, Helena Bobińska, to sowiecka powieściopisarka. Uczestniczyła w rewolucjach 1905 i 1917 roku. Aż do 1945 roku pozostawała w Związku Sowieckim (pisała do tamtejszych pism, w tym polskojęzycznych, należała do Związku Pisarzy Radzieckich), potem przeniosła się do Polski. Jest autorką hagiograficznej powieści o młodości Stalina pt. *Soso.*

Mąż Heleny, Stanisław Feliks Bobiński, też był komunistycznym działaczem i pisarzem. W 1920 roku należał do Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski. Został skazany i rozstrzelany w Moskwie w 1937 roku jako polski szpieg. Zrehabilitowano go w 1955 roku.

Siostrzenicą Bruna była Celina Budzyńska, komunistyczna działaczka młodzieżowa, członkini PPR i PZPR, posłanka na Sejm w czasach stalinowskich. Potem współpracowała z KOR i „Solidarnością”. Jej mężowie też byli komunistami.

I na koniec żona Juliana Bruna, Stefania. Była siostrą Józefa Unszlichta, uczestnika rewolucji październikowej, współorganizatora NKWD i Armii Czerwonej. W wojnie polsko-bolszewickiej Unszlicht walczył po stronie bolszewików, należał do Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego w Białymstoku. Również został stracony w okresie tzw. wielkiej czystki.

W rodzinie Bruna było jeszcze wielu podobnych antypolskich internacjonalistów. Można by nimi nazwać całe osiedle. W ramach komunistycznych resentymentów przywróćmy jeszcze nagrodę im. Juliana Bruna, którą w PRL-u firmowało Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.